

ANDRZEJ GÓRAL



KRONIKI CZASU ZIEMI

BookEdit

ANDRZEJ GÓRAL

KRONIKI CZASU ZIEMI



BookEdit

Copyright © Andrzej Góral, 2024

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracja na okładce: © freepik / Xanthius

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-52-9

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

PROLOG

Pracowanie przedstawionej tu historii jest dziełem wspólnym autora oraz HSS NAI*, którego bazy wiedzy zawierają niemal kompletny zasób informacji o cywilizacji homoriańskiej, od jej zarania po kres istnienia. Większość materiału stanowią tłumaczenia opisów oryginalnych wydarzeń przeprowadzone z języka homoriańskiego przez HSS NAI oraz bezpośrednie zapisy w systemach gromadzenia i analizowania informacji Wagów**. Wadą każdej translacji jest jej subiektywny kontekst interpretacyjny, szczególnie w przypadku tak dużych różnic kulturowych, obyczajowych i społecznych, jakie dzieli naszą i prezentowaną cywilizację. Należy uwzględnić znaczące różnice w fizjologii i psychofizycznych uwarunkowaniach zachowań obu gatunków, rzutujące na całą sferę stosunków społecznych, reakcji emocjonalnych oraz procesów poznawczych i motywacyjnych. Zdawać by się mogło, że różnice te powinny całkowicie uniemożliwić zrozumienie obcej cywilizacji. Na szczęście łączy je jeden wspólny mianownik – środowisko, w którym te społeczności powstawały, rozwijały się i ukształtowały. Choć ekosfera ziemską w okresach rozwoju cywilizacji homoriańskiej i cywilizacji ludzkiej różniła się w pewnym stopniu, to nie były to różnice znaczące. Decydującą rolę odegrała tu ta sama, bazowa struktura genów w obu przypadkach kształtująca istotę rozumną. W efekcie powstawały bardzo podobne, rozumne społeczności. Czytając opisy przedstawionych wydarzeń, można odnieść wrażenie, że zachowania homorian, ich obyczaje, wierzenia i kultura są niezwykle podobne do ludzkich. W dużej mierze jest to prawdą, jednak nie do końca. Jest to również заслуżą przyjętych przez nas pewnych założeń translatorskich. Ich intencją było wyeksponowanie wspólnych cech i wartości – tych dobrych, jak miłość, rodzina, przyjaźń, altruizm, i tych złych, jak agresja, nienawiść czy brak tolerancji. Podobieństwo podstawowych cech i wartości wskazuje na to, że stanowią one pewne niezmienniki rozwoju cywilizacyjnego. To uniwersalne czynniki, które kształtują strukturę

* HSS NAI – Hybrid Symbiotic System of Natural and Artificial Intelligence. Zostanie on przedstawiony i stanie się częścią narracji w dalszych rozdziałach.

** Wagowie – pozaziemska cywilizacja obserwująca cywilizację homoriańską.

rozumnego społeczeństwa zarówno w dobrym, jak i złym tego słowa znaczeniu. Oczywiście, trudno uniwersalność taką rozciągać na byty pozaziemskie, zbyt mało o nich wiemy. Jednak w skali naszej planety można przyjąć za pewnik, że zbiór uniwersalnych cech i wartości gatunków rozumnych, jakie mogą powstać w różnych epokach, jest inwariantny. Odpowiada za to ukształtowana już na bardzo wczesnym etapie powstawania życia na Ziemi startowa struktura genotypu pierwszych organizmów. Struktura ta determinuje i kierkuje ewolucję organizmów żywych. Można powiedzieć, że takie same warunki początkowe doprowadzą do takiego samego – mniej więcej – efektu końcowego w kształtowaniu istot inteligentnych. Jest to podstawowa zasada determinizmu. W tym przypadku nie jest to jednak determinizm mechanistyczny – absolutny, lecz wywodzący się ze zbioru procesów stochastycznych, jakimi są przemiany ewolucyjne. A więc taki, w którym stochastyka na poziomie mikro generuje determinizm na poziomie makro. Innymi słowy, choć procesy ewolucji zachodzą losowo, to warunki początkowe nadają zawsze taki sam trend ogólny, prowadzący do wykreowania inteligentnej społeczności opartej na tych samych cechach i wartościach.

Przepraszam czytelników za ten, być może nudny, naukowy wywód, ale postanowiłem go przytoczyć ze względu na inną, bardzo ważną konkluzję, jaką chciałbym przedstawić i uzasadnić. Dotyczy ona procesów obecnie zachodzących w ludzkiej społeczności. Procesów zagrażających naszej egzystencji. Rodzaj ludzki znalazł się w punkcie krytycznym, z którego może już nie być odwrotu. Nadmierna eksploatacja surowców i ich przetwarzanie prowadzi do ogromnego zanieczyszczenia środowiska oraz antropogenicznej zmiany klimatu. Efekt cieplarniany może okazać się wąskim gardłem, przez które nasz gatunek się nie przećśnie. Toczą się zaciekle boje o to, czy zagrożenie jest realne, czy należy podejmować działania mające na celu ochronę ziemskiej ekosfery, a jeśli tak, to w jakiej skali. Kreatywność obu stron jest niezwykła, a zacierzewienie prowadzi do podejmowania niezwykłych działań. A może to wszystko jest niepotrzebne? Jesteśmy jednym z wielu gatunków na huśtawce ewolucji, która ma prawo nas wyeliminować, tak jak zrobiła to już z wieloma innymi. To, że sami do tego dążymy, nie ma znaczenia. To geny kształtują nasze zachowania – dążenie do dominacji nad innymi, do bezrefleksyjnego bogacenia się kosztem środowiska. A genami rządzi ewolucja. Jak to się ma do naszego oglądu świata? Twierdzimy, że zagłada cywilizacji ludzkiej to najgorsza rzecz, jaka może się wydarzyć na Ziemi! Bezpowrotnie zniknie ludzkość, jej dorobek kulturowy i intelektualny. Przestaniemy istnieć. Ale przecież każdy z nas przestaje istnieć w momencie śmierci indywidualnej, przynajmniej fizycznie. Wraz ze śmiercią jednostki znika cały świat ukształtowany w jej umyśle i przechowywane w nim informacje. Jeśli ginie cały

gatunek, to mamy do czynienia jedynie z efektem skali. Ktoś powie, że sytuacja w tym przypadku jest zupełnie inna, gdyż bezpowrotnie ginie wtedy cały dorobek gatunku, nikt go nie dziedziczy. Ale czy na pewno? Ewolucja nie znosi próżni. Odtworzy, choć może lepiej powiedzieć wykreuje, nowy gatunek rozumny, który odbuduje, wydawać by się mogło bezpowrotnie utracone dobra intelektualne. Gwarantem tej odbudowy jest wykazana wcześniej teza o niezmienniczym charakterze uniwersalnych cech i wartości inteligentnych gatunków w obrębie ukształtowanej, rudymen tarnej puli genowej. Gdyby więc doszło do zagłady ludzkiego gatunku, nie płaczmy nad rozlanym mlekiem. Lepiej zaśpiewać: „Ludzie, nic się nie stało...”. Jeśli tylko życie na Ziemi nie zostanie doszczętnie zniszczone, cywilizacja ponownie się odrodzi, a nasi następcy będą podobni do nas, tak jak my jesteśmy podobni do homorian. Pewnie, że potrwa to kilkadziesiąt, a może kilkaset milionów lat, ale to jest nic w skali procesów planetarnych – czas motyla na tle naszego życia. Myślenie, że jesteśmy pępkiem świata, jest wynikiem jeszcze jednej z naszych cech, być może równie uniwersalnej. Niemniej, życie udowadnia nam na każdym kroku, że tak nie jest. Jesteśmy pyłkiem we Wszechświecie, efemerydą jego czasu. Jeśli chcemy naprawdę przetrwać, musimy poważnie przebudować system społeczno-ekonomiczny, poświęcając swoje indywidualne plany i dążenia, partykularne interesy grup i państw, a nie tylko pozorować zmiany. Piszę te słowa z goryczą, bo nie wiem, czy Matka Ziemia chce jeszcze tolerować nasze wybryki, czy zasługujemy na jej miłość i oddanie, jakimi każda matka obdarza swoje dzieci. Zachowujemy się jak rak, który toczy zarażone tkanki swego żywiciela, doprowadzając jego i siebie do unicestwienia.

Opowieść nasza skupia się głównie na pokazaniu różnych aspektów życia w społeczeństwie homoriańskim i procesów, jakie w nim zachodziły. Celem jest wykazanie komplementarności tej cywilizacji z naszą. Jednak należy sobie zdawać sprawę z tego, że podobieństwo nie jest pełne. Mimo że wiele obyczajów, obrządków i rytuałów tu opisanych wykazuje ludzające podobieństwo do naszych, to nie są one tożsame. Celowo zrezygnowano z wnikania w ich szczegóły, by nie epatować dziwnością, egzotyką i osobliwością. Zdecydował o tym charakter opracowania. Nie jest to więc szczegółowy opis etnograficzny, lecz jedynie zaznaczenie tego, że w tamtejszej społeczności istniały rytuały mające odpowiedniki w naszej, takie jak ceremonie pogrzebowe, żałoba, zawieranie związków małżeńskich, reguły współżycia społecznego itp. W szczegółach jednak różniły się bardzo od naszych, choć ich znaczenie było identyczne, odzwierciedlające uczucia i wartości duchowe homorian. Należy również zwrócić uwagę na imiona, nazwiska rodowe i wszelkie inne nazwy. Zostały one dostosowane do naszej percepcji. Ich oryginalne brzmienie nie poddaje się transkrypcji, choćby z tego powodu, że zakres częstotliwości

emisji i odbioru akustycznego był u homorian inny niż u nas. Podobnie pismo stanowiłoby dla nas bezsensowny układ znaków, wcale nie sekwencyjny. HSS NAI dokonał w tym zakresie ogromnego wysiłku, by oddać charakter stosowanego przez homorian nazewnictwa. W tym momencie mam okazję, by podziękować mu za udostępnienie wszystkich materiałów, które wykorzystano w książce, oraz za wspaniałą współpracę przy ich tłumaczeniu i redagowaniu.

JUDHOSZ

Wstawał wyjątkowo słoneczny i przejrzysty poranek. Lekkie porywy północnego wiatru nasycaly atmosferę wiecznego miasta orzeźwiający m tchnieniem świeżości. Natura przekornie łamała własne zasady, niweczając patos stolicy świata, tak bardzo związany z unoszącymi się zwykle wyziewami. Judhosz po bezsennej nocy skorzystał z okazji, by odświeżyć umysł. Delikatne powiewy studziły żar bijący z rozgrzanych murów miasta, którego nawet chwile nocy nie zażegnały. Nadstawił policzek, poddając się łagodnym podmuchom muskającym rozpaloną głowę. Z tarasu jego prywatnego apartamentu rozpościerał się nieograniczony widok na Ghintorię. Konglomeracja-moloch rozciągała się poza granice wzroku, stwarzając wrażenie, że u stóp wzgórz Mogatykanu przywarowała jakaś straszliwa bestia, której skorupa upstrzona jest nieregularnymi kolcami i nierównościami, a większa część ciała ginie poza horyzontem. Spoglądał na panoramę miasta z pewną dozą satysfakcji, jak właściciel doglądający potężnej bestii posłusznie warującej u jego stóp w oczekiwaniu na komendę swego pana, jednak zawsze gotowej wbić swoje kły w karmiącą rękę. Arcytriskup Judhosz Kariota, hierarcha drugiego stopnia wśród najwyższych kapłanów boga Moga, należał do ścisłej elity sprawującej władzę wykonawczą w strukturach demokracji Carstwa. Zarządzał bezpieczeństwem wewnętrznym, a jego zadaniem było tępienie wszelkich zagrożeń, które potencjalnie mogłyby naruszyć struktury ponadczasowego mocarstwa.

Było to dziwne zrządenie losu, osobiście brzydził się wszelkimi formami bezpośredniej przemocy, zwłaszcza prymitywnymi torturami fizycznymi. Jednak w imię wyższych wartości nie tylko godził się, ale nawet nakazywał ich stosowanie. Na szczęście nie musiał osobiście brać udziału w tych – jak je nazywał – działaniach operacyjnych. Takie czynności wykonywali inni – jego podwładni. Osoby pozbawione wszelkich skrupułów, dewianci, którym często sprawiało to przyjemność. Polecenia wydawał dla dobra Carstwa i społeczeństwa, zresztą ofiary najprawdopodobniej były takimi samymi degeneratami jak ich oprawcy. Czuł się czysty i z satysfakcją myślał o tym, że jego działalność pozwala

wyeliminować przynajmniej niektórych z tych, którzy nie zasługują na to, by być częścią społeczeństwa homoriańskiego. Oczywiście, ta argumentacja to duże uproszczenie, pewien skrót filozofii, jaka kierowała jego działaniami. Nie był aż tak prymitywną osobowością, wręcz przeciwnie, a pełna motywacja jego postawy była bardzo skomplikowana i zawiła – oprawiona w wysublimowane argumenty etyki, filozofii i religii, choć w sumie sprowadzała się do powyższej, prostej konstatacji. Po części z tego pragnienia oczyszczenia i zrozumienia siebie oraz roli, jaką wyznaczył mu Najwyższy na tym świecie, brała się fascynacja wartościami intelektualnymi oraz potrzeba snucia głębokich rozważań o istocie bytu, potrzebie rozwoju społecznego, a także o kierunkach, w jakich ten rozwój powinien zmierzać. Przydawało się to do tworzenia wyrafinowanych sprawozdań dla DeMoCara, a dla niego osobiście stało się – jak mawiał – stylem życia. Było w tym trochę snobizmu, z czego zresztą doskonale zdawał sobie sprawę, ale to lubił i tym się cieszył.

Wyżej od niego w hierarchii stali jedynie kapłani pierwszego stopnia – imperałowicze. W rzeczywistości awans do tej grupy stanowił przejście na arcytriskupią emeryturę. Zadaniem imperałów było kształtowanie i doskonalenie doktryny wiary oraz celebrowanie najważniejszych uroczystości kościelnych. Jud wcale nie śpieszył się do tego wielkiego zaszczytu. Na szczęście był jeszcze w miarę młodym hierarchą i dysponował „odpowiednią” wiedzą, dzięki której mógł bezpiecznie kreować swoją przyszłość. Jego poprzednicy na tym stanowisku „awansowali” zwykle dopiero wtedy, gdy stan ich umysłu był bliski całkowitej demencji. Oczywiście każda reguła ma swoje wyjątki i zdarzały się wcześniejsze, bardzo spektakularne i burzliwe odejścia. Tak „awansował” jego poprzednik, zresztą przy wydatnym wsparciu i pomocy Juda. By dopełnić obrazu struktur władzy w Carstwie, należy dodać, że jej najwyższym dostojnikiem był Namiestnik Boga na Ziemi, czyli DeMoCar (DMC). Wspierała go bardzo wpływowa instytucja – Rada Główna, w skład której wchodził książęta – głowy Wysokich Rodów. Bezpośrednie zarządzanie państwem spoczywało w rękach Rady Wykonawczej, której członkiem był Judhosz. Istniały jeszcze inne gremia doradcze mniejszej rangi.

Judhosz był naprawdę dumny z takiego podziału władzy i z tego, że Carstwo miało najlepszy z możliwych ustrojów – demokrację. W uczciwych i wolnych wyborach obywatele Carstwa wybierali najwyższego boga, którego na Ziemi reprezentował jego namiestnik. Aktualnie na listach wyborczych było jedenastu bogów, zgłoszonych przez działające kościoły. Aby zgłosić boga do wyborów, należało pozyskać pięćset tysięcy podpisów jego wyznawców. Judhosz był też dumny z tego, że od prawie czterech tysięcy lat zawsze w wyborach wygrywał jego bóg, Mog. Centrum kultu Moga stanowił Mogatykan ze swoimi świątyniami. Jest sprawą oczywistą, że świątynie Moga znajdowały się w każdej większej

miejsowości na całym świecie. W wielu było ich kilka, a nawet kilkadziesiąt. W żaden jednak sposób nie ograniczano działalności innych kościołów. Mogły one funkcjonować swobodnie, ale musiały uznawać przywództwo Moga. Taka jest logika wyborcza.

Dotknął w zamyśleniu swojej idensolety, odruchowo pocierając przycisk zwalniający – głupi nawyk. Miał sześć lat, kiedy odziedziczył ją po matce. Zwyczajowo przyjęcie dziecka do społeczności homoriańskiej poprzez założenie idensolety następowało w chwili, gdy kończyło ono pierwszy rok. W tym momencie stawało się pełnoprawnym członkiem społeczności – obywatelem Carstwa. Dzień ten obchodzono uroczyście, w gronie rodziny i przyjaciół. Idensoleta była swego rodzaju nadłokciową bransoletą wyposażoną w prosty mechanizm rozciągania, który umożliwiał samodostosowanie do obwodu ramienia wraz z rozwojem dziecka. Nie można było jednak rozciągnąć idensolety na tyle, by ją zdjąć. Staw łokciowy homona był znacznie rozbudowany, wybór lokalizacji nie został więc dokonany przypadkowo. Idensoletę można było zdjąć tylko w celu przekazania jej potomkowi po śmierci właściciela i wymagało to obcięcia ręki powyżej umiejscowienia obręczy. Idensoleta pełniła funkcję osobistego identyfikatora, a znaczące rody dbały o to, by idensolety pozostawały w rodzinie. Na obręczy znajdowała się wypukła rozeta, którą można było otworzyć, z reguły za pomocą specjalnego przycisku. Wewnątrz zlokalizowano system kilkudziesięciu bolców, każdy o innym zakończeniu, ich przestrzenny rozkład tworzył unikalną kompozycję – identyfikator specyficzny dla danej osoby, umożliwiający podpisywanie dokumentów (stemplowanie) poprzez odcisnięcie. Służyła również do innych celów, na przykład dostępu do różnych urzędzeń, otwierania zaszyfrowanych zamków (dom, sejf itp.) lub do rozliczania podatków. Były również idensolety o wiele bardziej skomplikowane, z dostępem elektronicznym i różnymi formami ochrony. Unikalny układ kompozycyjny nadawano urzędowo, a dane zapisywano w centralnym urzędzie administracji publicznej. Przy dziedziczeniu zmieniano jedynie dane osoby w zapisach urzędowych, gdy idensoleta po śmierci i obowiązkowej kremacji zwłok trafiała do nowego właściciela. Na zewnętrznej stronie rozety umiejscawiano za pomocą odpowiednich symboli przynależność rodową osoby. Nie trzeba dodawać, że wytworzył się cały podziemny system fałszowania idensolet, zwalczany bezlitośnie przez państwo. Idensolet nie mogli nosić pachtowie. Wiadomo, niewolnicy nie byli obywatelami Carstwa. Nie nosili ich również – z wyboru – członkowie plemion koczowniczych Dalekiego Wschodu i obywatele księstwa Torsten.

Jud wciągnął głęboko powietrze, delektując się jego świeżością. Rzadko było ono tak czyste. Nie czuł nawet paskudnego zapachu niesionego przez wiatry południowo-wschodnie od rozległych akwenów gromadzących homoriańskie odchody z całej aglomeracji. Miasto produkowało niewyobrażalną ilość nieczystości komunalnych. Nikt nie rejestrował

mieszkańców Ghintorii, szacowano, że jest ich około 80 milionów. Do tego 40 milionów niewolników (pachtów) państwowych i od 40 do 60 milionów prywatnych. Wszystkie nieczystości odprowadzane były na otwarte akwenty wodne po południowo-wschodniej stronie miasta. Na szczęście tutaj dominowały wiatry zachodnie.

Westchnął na myśl o obowiązkach. Musiał podjąć trudną decyzję, jakie przyjąć stanowisko w sprawie artykułu uznanego filozofa Johaldona Galldoneyca, który ukazał się w ostatnim wydaniu *Kronik Ghintoriańskich*. Nie chodzi oczywiście o naukową opinię Judhosza na ten temat, lecz o ocenę wpływu opublikowanych treści na nastroje społeczne. A sprawa była delikatna. Z jednej strony teoria ewolucji została oficjalnie zaakceptowana przez Kościół, z drugiej jednak wielu ortodoksyjnych hierarchów i kapłanów całkowicie negowało naukowe ustalenia, pozostając przy starej doktrynie, że to Mog stworzył homona, wyciosując go z kamienia i tchnął w niego duszę. W środowiskach Kościoła starano się nie eksponować teorii ewolucji, pomimo że została ona naukowo dowiedziona i przyjęta powszechnie przez elity społeczne i środowiska związane z Wysokimi i Dobrymi Rodami. Nawet sam DMC był zagorzałym zwolennikiem tej teorii. Należało jednak brać pod uwagę masy niewykształconych wiernych, pozostających pod silnym wpływem znaczącej części kapłanów, którzy bardzo agresywnie prezentowali swoje przekonania.

Galldoneyca udowadniał tezę, że choć ewolucja zdecydowanie miała miejsce, to pojawienie się homona odbyło się w bardziej spektakularny sposób. W krótkim czasie kilku tysięcy lat z dinozauroidów – dwunożnych, wyprostowanych drapieżców naczelnych, wykształcił się *homon sapiens*, istota myśląca, w niewielkim stopniu różniąca się od obecnych homorian. Gdyby chodziło tylko o mutację powodującą duże powiększenie mózgu, fakt ten można by jeszcze zaakceptować na gruncie doboru naturalnego. Jednak pojawiła się jeszcze druga, równie poważna zmiana – zdolność do karmienia noworodków własnym pokarmem przez matkę. Nie oznaczało to oczywiście przemieszczenia homorian do grupy ssaków. Piersi kobiet homoriańskich nie wydzielają mleka, lecz kavinę, napój przystosowany do metabolizmu ich potomków. Mutacji tej towarzyszył całkowity zanik cech gadzich – utrata pozostałości łusek obecnych na ciele naczelnych, pojawienie się w ich miejscu owłosienia, zanik ogona reszkowego i kilka innych o mniejszym znaczeniu. Wystąpienie tak wielu znaczących mutacji w tak krótkim czasie z punktu widzenia zasad doboru naturalnego jest niemożliwe. Dobór ten wynika z dostosowania nowo nabytych cech do warunków środowiska. Kontrola dopasowania wymaga czasu wielopokoleniowego. Dziedziczne przekazywanie nowych cech może zwiększać przeżywalność zmienionych osobników, powodując rozprzestrzenianie się tej puli genów lub odwrotnie, zmiana negatywna prowadzi do pokoleniowego wymierania. Ponadto teoria ewolucji przyjmuje, że

proces ten przebiega w formie całego ciągu drobnych zmian przystosowawczych w długim przedziale czasowym. Co prawda nie można wykluczyć naglej, bardzo znaczącej mutacji, radykalnie zmieniającej przystosowanie osobników do środowiska, jednak jak stwierdza Galldoneyce, wystąpienie dwóch tak znaczących mutacji i kilku mniejszych w tak krótkim czasie jest nieprawdopodobne. Ponadto, zauważa on, że pojawienie się drugiej ze zmian jest niezbędne do sukcesu pierwszej. Dzieci homorian muszą wykształcać swoje umiejętności umysłowe w dłuższym przedziale czasu, co związane jest z budową mózgu – jego powolnym rozwojem, a to skutkuje również dużo wolniejszym nabywaniem podstawowych umiejętności. W konsekwencji dzieci nie są przystosowane do szybkiego włączenia się w rytm życia i opanowania prostych czynności. Długo wymagają troskliwej opieki i wyrafinowanej diety, a karmienie piersią to jeden z bardzo istotnych elementów tej opieki.

Najważniejszym wnioskiem rozważań Galldoneyce'a była teza o boskiej interwencji w naturalny rozwój gatunku. Ta ingerencja spowodowała wyłonienie się inteligentnego rodzaju istot – homorian. Stwierdza on, że bez boskiego zaangażowania pojawienie się inteligencji na tym poziomie byłoby mało prawdopodobne, a nawet niemożliwe. Innymi słowy, Galldoneyce przerzucił pomost pomiędzy dwoma poglądami – ewolucjonizmem i kreacjonizmem. Problem w tym, że ortodoksyjnej części społeczeństwa żadne pomosty nie interesowały. W ujęciu konserwatywnym świat, rośliny, zwierzęta i homorian powołał do istnienia Mog w jednorazowych aktach stworzenia.

Jud starał się sprecyzować jakieś stanowisko w tej sprawie. Jego poglądy przy tym nie miały żadnego znaczenia, chodziło jedynie o wypracowanie koncepcji, która zadowoli DeMoCarą i podbuduje pozycję Juda w jego oczach, prezentując go jako osobę kompetentną, błyskotliwą i ogarniającą sytuację. Należało wymyślić coś spektakularnego, gdyż taka sposobność może się długo nie pojawić. Judhosz myślał intensywnie, rozważając różne warianty odpowiedzi. Ogólnie, czuł istotę koncepcji, która pojawiała się mgliście w jego umyśle, ale na razie nie potrafił jej jasno sformułować. Ważne, by nadać nazwę tej ulotnej idei. Jud należał do kategorii osób, dla których nazwanie czegoś miało wartość kreacjonistyczną – słowo staje się ciałem. Nazwa tworzy nową kategorię, którą dalej można rozwijać, obudowywać nowymi elementami, konstruować całą misterną strukturę. Nagle doznał olśnienia. Jest! Już wiedział, o co mu chodzi. To ma być „pelzająca idea”. Określi ona, w jaki sposób należy traktować teorię ewolucji – zarówno co do jej charakteru, jak i sposobu propagowania w społeczeństwie. Powie DMC, odwołując się do nowo wymyślonej nazwy, że każde gwałtowne ścieranie się nowych i starych idei rodzi konflikty, dlatego nowe idee należy propagować w społeczeństwie powoli, ale systematycznie. Czas jest najlepszym sprzymierzeńcem, a nowe idee zostaną przyswojone w sposób naturalny, stając się normą.

Z dumą pomyślał o swojej genialności. Oczywiście pozostawał problem techniczny – jak propagować te nowe idee. Ale to już nie jego kłopot, od tego są struktury wykonawcze państwa. Z zaciekawieniem zaczął jednak analizować ten przyziemny problem. System szkolnictwa Carstwa był bardzo prosty – każdy może uczyć się za darmo, jeśli tylko temu podoba. Zarówno w stolicy, jak i w większych miastach istniały ogromne, dobrze wyposażone kampusy szkolne, zapewniające kwatery, wyżywienie i zaplecze edukacyjne oraz nauczycieli. Na poziomie podstawowym należało zaliczyć po trzy dowolnie wybrane przedmioty co trzy miesiące, z jedną możliwą poprawką każdego z nich. Co roku ich liczba zwiększała się o jeden. Po pięciu latach pozytywnego kształcenia można było podjąć studia kierunkowe i właściwie uczyć się w nieskończoność. Problem polegał na tym, że do tego etapu docierała jedynie garstka uczniów. Wymagania stawiane w każdym przedmiocie i na każdym etapie edukacji były naprawdę duże, a odsiew z tej przyczyny ogromny. Zniechęcało to większość młodych osób do podejmowania nauki, pozostawali jedynie najzdolniejsi i najbardziej zdeterminowani. Najczęstszym powodem podejmowania kształcenia były ambicje rodziców, szczególnie dzieci z grup społecznych klasy średniej. Celowały w tym Dobre Rody i dobrze sytuowane grupy reprezentujące handel, wytwórstwo oraz inteligencję (nauczyciele, naukowcy). Dodać należy, że istniała odpłatna wersja nauczania. Koszty były jednak bardzo wysokie i stać na nie było jedynie najbogatszych. Co dawało wykształcenie, poza prestiżem, wiedzą praktyczną dla poszczególnych zawodów i zadowoleniem osobistym? Wybitni absolwenci znajdowali zatrudnienie w ogromnych laboratoriach carskich. Państwo nie mogło sobie pozwolić na zastój technologiczny. Nowe rozwiązania techniczne były jednak wytworami elitarnymi, z których korzystały jedynie wyspecjalizowane struktury władzy – armia, nadzór administracyjny i przemysł przetwórczy, prywatny, lecz ściśle kontrolowany przez struktury władzy. Pewne wynalazki trafiały też do przedstawicieli elit społecznych, generalnie jednak obowiązywała doktryna konserwatywnego stylu życia w cieniu odwiecznej tradycji. Korzystanie z gadżetów technicznych było źle widziane i niemodne. W stosunku do przedstawicieli niższych rodów funkcjonował zakaz korzystania z nowinek technicznych. Jud widział możliwość szerzenia koncepcji pełzającej idei w odniesieniu do teorii ewolucji poprzez wprowadzenia obowiązkowego przedmiotu w chwili rozpoczęcia nauki. Tak na wszelki wypadek, gdyby to interesowało DeMoCara.

Teraz Judhosz mógł zająć się następnym, tym razem osobistym, problemem. Arcytriskupem został mianowany niedawno, a do nowej, okazałej siedziby przeniósł się parę tygodni temu. Należało powołać zarządcę posiadłości i biura. To była ważna decyzja. Zarządca będzie administrował wszystkimi funkcjami domowymi, nadzorował harmonogram jego

działań oficjalnych, w tym państwowych i osobistych, dobrze służyć i będzie nią kierował. Zajmie się też wieloma drobniejszymi aspektami jego życia. Sprawa była bardzo delikatna ze względu na pełnioną przez niego funkcję – zarządza przecież sieciami agentów i informatorów w całym Carstwie oraz prowadzi sprawy poufne i ściśle tajne, nierzadko związane z samym DMC i Wysokimi Rodami. Subtelność tych spraw deprymowała nawet jego.

Miał kilka kandydatur na to stanowisko, jednak do żadnej nie był całkowicie przekonany. Nikt i nic nie ograniczało go przy wyborze, nie miał zwierzchnika poza DMC. Jedynie ze względu na to, że w części świątynnej Mogatykanu mogły przebywać tylko osoby duchowne (nawet służący byli duchownymi najniższego szczebla – pomocnikami kapłanów lub rezydentami), musiał ograniczyć swój wybór do kapłanów lub ewentualnie triskupów. Na myśl o wyborze triskupa roześmiał się głośno. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powołałby triskupa na to stanowisko. Walka o władzę stanowiła podstawę każdej kariery w instytucjach Kościoła. Taki krok to było podanie na tacy swojego stanowiska konkurentowi. W tej sytuacji najlepszym wyborem było powołanie kapłanki – kobiety nie mogły awansować wyżej – a jeszcze lepszym kapłanki skazanej na klasztorne wygnanie za jakiś niegodziwy czyn. Byłaby to dla niej pewna forma awansu i sprawowania realnej władzy. Miał taką kandydatkę, jednak z wielu względów się wahał. Judythania była niezmiernie piękną kobietą, co już stanowiło pewien problem. Wysoka, zgrabna, ciemnowłosa, o twarzy bardzo regularnej, choć o trochę ostrych rysach i bezdennie ciemnych oczach fascynowała Judhosza. Była pierwszą w linii krwi przedstawicielką znanego i bogatego Dobrego Rodu Savadoria – następczynią głowy rodu. Zareczyła się z piątym w linii krwi członkiem Wysokiego Rodu Jazaidów, Samadynem, i dopuściła się krwawego czynu. Podczas jednego z przyjęć, na którym brali udział przedstawiciele obu rodów, doszło do niefortunnego zdarzenia. Z salą balową sąsiadowało kilka kameralnych pomieszczeń służących rozochoconym parom. Tak się złożyło, że jedna z par w ferworze gwałtownych uciech wyważyła przepierzenie i stanęła w jednoznacznej sytuacji, obnażona przed salą pełną zdumionych gości. Mężką połowę pary reprezentował narzeczony Judythanii, Samadyn. Jediną osobą, która zachowała przytomność umysłu i zdolność reakcji, była sama Judythania. Błyskawicznie chwyciła ze stołu nóż i jednym szybkim cięciem podcięła narzeczonemu gardło.

Gdyby to nie działo się na oczach tylu świadków lub gdyby Samadyn nie należał do Wysokiego Rodu, wszystko skończyłoby się zatuszowaniem sprawy. Jednak w tej sytuacji Rada Główna nie miała wyboru, zapadł wyrok – kara śmierci. Gdy zrelacjonowano całe wydarzenie DeMoCarowi, ten zdrowo się uśmieł z upokorzenia rodu Jazaidów, którego szczerze nie cierpiał. Z wyjątkową łatwością udało się rodzicom Judythanii uzyskać audiencję u DMC, który bez słowa podpisał akt ułaskawienia. Jednak musiała ponieść

jakąś karę – została zesłana do Mogatykanu. Inteligentna dziewczyna szybko awansowała, osiągając szczyt możliwej dla kapłanki kariery. Uroda Judythanii stała się jednak przyczyną wielu konfliktów w środowisku duchownych. Kodeks nie zabraniał kontaktów seksualnych kapłanom ani kapłankom, zabraniał jedynie małżeństw. Judythania odrzucała wszelkie zaloty, jednak gdy stały się one zbyt nachalne, złożyła ślubowanie bogu – stała się żoną Moga. Nie było to niczym szczególnym, wiele kapłanek i kapłanów składało takie ślubowanie. Należy podkreślić, że Mog nie był bogiem tylko męskim. Był zarówno formą męską, jak i żeńską równocześnie – dwójcą przenajświętszą. Stanie się żoną lub mężem Moga oznaczało, że nikt takiej osoby nie mógł tknąć, groziła za to śmierć. Małżonek Moga, poza ośmioramienną gwiazdą ślubną utwierdzaną do idensolety, otrzymywał pierścień ze szlachetnym szmaragdem, kamieniem poświęconym Mogowi. Kamień posiadał ukryte rylce wypełnione śmiertelną trucizną, które pokryte były cienką powłoką. Uderzenie pięścią niszczyło powłokę, a rylce wbijając się w ciało atakującej osoby, powodowały natychmiastową śmierć.

Historię Judythanii opowiedziano Judhoszowi na początku jego triskupiej kariery. Gdy poznał Judythanię, ona była już osobą popularną w środowisku duchownych, choć o dziesięć lat młodszą od niego. Jeszcze jako triskup osobiście się z nią zetknął, prowadząc uroczystości kościelne w Wielkiej Katedrze. Zwykle sprawującemu celebry towarzyszyło troje kapłanów. Nigdy nie zapomniał tych sytuacji, gdy zwrócony do wiernych, miał przed sobą kapłanów, którzy stali naprzeciw niego, a tyłem do zgromadzonego tłumu. Judythania, zwykle w środku, patrzyła mu zimno prosto w oczy, jakby odkryła prawdę, że on nie wierzy w boga. Judhosza niełatwo było zbić z tropu, więc odpowiadał jej równie zimnym spojrzeniem. Była to swoista walka o to, kto pierwszy spuści wzrok. Żadne z nich nigdy nie przegrało. Przypominając sobie te zmagania, podjął decyzję z całą świadomością, że będzie żałował.

Stała przed nim w jego gabinecie wyprostowana i dumna jak zwykle. Wcześniej wręczono jej decyzję i przełożona kapłanek przyjęła od niej przysięgę posłuszeństwa. Teraz czekała na jego słowa. Judhosz postanowił, że musi od razu, już na początku złamać tę dumę i zmusić ją do podporządkowania się. Nagłym ruchem złapał ją za brodę i przechylił jej głowę w dół, by była pochylona w geście poddania. Otrzymał uderzenie otwartą dłonią w twarz. Zaskoczyła go szybkość i siła reakcji. Odskoczył, starając się opanować nagły przypływ wściekłości.

– C... co to ma znaczyć? – Wbił w nią wzrok.

– Nic – odparła bez wyrazu, choć jej oczy błyszczały jak dwie błyskawice.

Uzmysłowił sobie, że zadała cios otwartą dłonią. Gdyby uderzyła pięścią, już by nie żył. I nic by jej za to nie groziło. Cała sytuacja miała miejsce w obecności służącego, kapłana rezydenta, a Jud naruszył jej chronioną prywatność. Właściwie to zawiodła swojego męża – Moga. Powinna go zabić. Odchrząknął.

– Codziennie o czwartej beztercji* stawiasz się tu, w gabinecie, celem ustalenia harmonogramu dnia.

– Pani! – rzuciła ostrym tonem.

Była to jawna bezczelność z jej strony. Niech będzie. Gdyby nie postąpił tak głupio, nigdy nie ośmieliłaby się na tego typu reakcję. Dobrze.

– Pani – dodał.

Odwrócił się do służącego i skinieniem przywołał do siebie. Położył rękę na jego ramieniu, prawie żałując, że musi to zrobić. Jud był bardzo silny. Ostrze noża przebiło klatkę piersiową młodzieńca i dosięgło serca. Śmierć była natychmiastowa. Twarz Judythanii nawet nie drgnęła, choć oczy zrobiły się jakby bardziej okrągłe. Niewiele, ale jednak.

– Pani, proszę skompletować zaufaną załogę. I dyskretnie pozbyć się... – Tu wskazał ciało. – Spotykamy się wieczorem. Liczę na przedstawienie wszystkich służących. Aha, jeszcze jedno, proszę przed nocą ściągnąć moją nałożnicę, Testelę. Pojutrze ustalimy zakresy obowiązków dla wszystkich.

– Panie, pojutrze mam intymne spotkanie z moim mężem.

Natychmiastowa reakcja na jego prowokację rozbawiła go i podnieciła.

– Musisz, pani, wyznaczyć zastępcę na tego typu okazje.

– Dobrze, panie.

Jako żona boga Judythania miała prawo do zwolnienia na pół dnia w takiej sytuacji. Judhosz znał „oficjalną procedurę” oddawania się Mogowi przez jego małżonka. Składała się z trzech etapów: transu, tańca i aktu. Praktyki w przypadku kobiety i mężczyzny różniły się nieco w szczegółach, jednak w ogólności były bardzo podobne. Na początku pierwszego etapu osoba biorąca udział w obrzędzie przygotowuje boskie łoże – rozwija dywan z wizerunkiem słońca – atrybutu Moga, rozkłada po bokach poduszki z haftowanymi symbolami boga i ustawia po jednej ze stron dywanu 25 świec tworzących kształt księżycy w postaci sierpa. Modląc się, zapala świece i siada na środku dywanu w pozycji do medytacji. Czas rozluźnienia umysłu nie był określony. W instrukcji podano, że czynność ta ma prowadzić do uwolnienia ducha od trosk i spraw codziennych. Trans rozpoczyna się

* Beztercja – jednostka czasu, która stanowiła jedną czternastą część doby homoriańskiej. Należy pamiętać, że ziemską dobę 65 milionów lat temu była krótsza o ok. 29 min.

od wypicia pierwszego łyku maztepaly – środka halucynogennego opracowanego specjalnie do tego obrzędu. Skład i receptura narkotyku stanowiły jedną z największych tajemnic cechu kapłanów Tajor*. Należało wypić 11 łyków, odmawiając głośno po każdym specjalną modlitwę przygotowaną tylko w celu zmysłowego pobudzenia oraz wykonując dystoniczne ruchy całym tułowiem w przód i w tył. Działanie maztepaly było specyficzne. Osoba w transie stawała się całkowicie ukierunkowana na cele określone słowami modlitwy.

Etap drugi stanowił kontynuację poprzedniego w oparciu o naturalną reakcję na wcześniejsze czynności. Głównym jego elementem był spontaniczny taniec z narzuconym układem rytmicznych ruchów. Ruch miał na celu uruchomić nie tylko zmysłową aktywność mózgu, ale przede wszystkim fizjologicznych organów ciała z taką aktywnością związanych. Etap trzeci to był finał etapu drugiego i w instrukcji określony został enigmatycznym stwierdzeniem, że jego przebieg wynika z indywidualnych skłonności i predyspozycji. Przede wszystkim jednak celem było osiągnięcie szczytowej, zmysłowej rozkoszy umysłu w zespoleniu z bogiem. Reakcja fizjologiczna jest reakcją wtórną, niekoniecznie osiąganą.

Dość szybko Judhosz stwierdził, że może być zadowolony z działań administratorskich Judythanii. Organizowała życie w rezydencji i sprawy zawodowe Juda w sposób perfekcyjny. Służba pod jej nadzorem działała bez zarzutu, a przeszkoleni przez nią księża posługacze bezbłędnie i przykładowo wypełniali swoje obowiązki. Jud najbardziej był zadowolony z kucharza, którego Judythania wystraszyła nie wiadomo skąd. Wiedział, że znalezienie dobrego kucharza w Mogatykanie graniczyło z cudem. Trzykondygnacyjna siedziba została też odpowiednio podzielona. Parter, poza ogromnym, okazałym holem, zajmowały pomieszczenia mieszkalne dla służby i podręczne magazyny. Pierwsze piętro spełniało funkcję reprezentacyjną, gdzie znajdowały się dwa wystawne salony, biblioteka i pokoje gościnne oraz ogromna kuchnia na zapleczu. Drugie piętro zaś stanowiło część osobistą Juda i – o dziwo Judythanii – stało się tak bez jego opinii i zezwolenia. Przyjął ten fakt milcząco do wiadomości, choć walczyły w nim dwa rodzaje skrajnych emocji – urażone ego i zadowolenie, nie wiadomo z czego. Judythania szarogęsiła się bez pytania w tych sprawach. Generalnie nie wtrącał się do działań swojej zarządczyni. Na trzeciej kondygnacji wyłoniono zaś dwa apartamenty z sypialniami, pokojami dziennymi i gabinetami. Sypialnie z sobą sąsiadowały. Z zadowoleniem przyjął do wiadomości, że wyznaczyła mu oddzielną, osobistą bibliotekę oraz pomyślała o doborze odpowiedniego sejfu w gabinecie. Część frontową obu apartamentów stanowił pokój przyjęć oraz położona obok niego

* Tajor – dwunastu starszych kapłanów objętych regułą milczenia, przechowujących największe tajemnice Kościoła. Zajmowali się m.in. przygotowaniem maztepaly.

jadalnia – ciekawe, że wspólna. Bez zdziwienia skontestował więc fakt, że skazany został na spożywanie posiłków razem ze swoją zarządczynią. Pierwszy taki posiłek spożyli następnego dnia po przemeblowaniu. Judythania zapukała do jego gabinetu.

– Panie, podano obiad.

– Zaraz przyjdę – odburknął zajęty analizą nowego rozporządzenia DMC.

– To może poczekać. Obiad wystygnie. – Stała w drzwiach, nie zamierzając ustąpić.

Nie miał ochoty na kłótnie, więc odpuścił.

Siedzieli naprzeciwko siebie, on trochę naburmuszony, ona swobodnie z niewinną miną. Zauważył, że pomocnik kucharza podaje im zupełnie różne dania. Dla niego przygotowano ulubioną pieczeń z sałatką warzywną w ostrym sosie indygodowym. Duża porcja piętrzyła się na półmisku. Ona zadowolila się posiekaną mięsną rozbiją w dziwnym sosie i gotowanymi warzywami. Ubrana była też jakby inaczej. Zamiast oficjalnego stroju przywdziała skromną, ale gustowną sukienkę, idealnie dobraną do jej karnacji. Wyglądała zjawiskowo.

– Zamierzasz, pani, jeszcze coś zmieniać w urzędzeniu siedziby? – zagaił.

– Nie przewiduję większych zmian. Jedyne pozyskanie jakichś dzieł artystycznych, by nadać rezydencji godny styl. Chyba że masz, panie, jakieś specjalne życzenia – odpowiedziała swobodnie.

– Jedyne należałoby zmienić materac w moim łóżku. Testela narzeka, że jest za twarde. – Coś go pokusiło, żeby ją sprowokować.

Judythania nawet nie drgnęła. Tylko mocniej ściągnięte brwi nadały jej twarzy bardziej mrocznego wyrazu.

– Taniej będzie, panie, zmienić nałożnicę niż materac. – W jej głosie zabrzmiał cień ironii.

Z trudem stłumił śmiech.

– Przyzwyczailem się do niej.

– Stara szmata zwykle bliższa ciału niż nowa koszula – odparła.

Nie wiedział, jak zareagować. Powinien ją mocno obsztorcować, ale...

– Tak to jest, gdy nowa nie chce się dopasować do ciała.

– Bo należy ją starannie dobrać, rozpatrując wszystkie zalety i uroki. Mężczyźni zwykle tego nie potrafią. Nie wiem, czego im w tym zakresie brakuje, wyobraźni czy inteligencji.

Wreszcie zdołała go wytrącić z równowagi.

– Dobrze, że boga nie tak łatwo zmienić. – Starał się nie wybuchnąć.

Zauważyła jego wzburzenie.

– Bo boga się kocha. A on zwykle odwzajemnia uczucie – dodała pojednawczym tonem.

- Nie jestem bogiem – odparł.
- Ale on jest emanacją każdego z nas.

Spojrzał na nią z niepewnością, nie wiedząc, co chciała przez to powiedzieć.

- Wierzy pani w boga?

Teraz ona się zmieszała na taką bezpośredniość.

- Wierzę w boga jako ideę, która spaja dusze nas wszystkich. To nie musi być Mog. Odzwierciedla on nasze uczucia, myśli i uczynki.

Zaskoczyła go śmiałość tej wypowiedzi, odwagą oraz to, że zaufała mu w takim stopniu.

Podano lekki khobolt* zwany windonem oraz deser. Do końca obiadu nie zamienili już ani słowa. Zadumany Jud rozmyślał o tym, co powiedziała.

Przez kilkanaście następnych dni zajmował się zleconymi przez DMC sprawami związanymi z tworzeniem nowej siatki wywiadowczej na zachodnich kontynentach. Sprawujący tam władzę w imieniu MoCara gubernatorowie z jego Wysokiego Rodu: Dascota, zarządca północnego kontynentu, i Apellocha – południowego, mieli jego pełne zaufanie. Jednak możliwość secesji obsesyjnie prześladowała DMC. Uraz związany z odległymi w czasie echami Wielkiej Wojny Praojczyźnianej zawsze ciążył nad umysłami wszystkich DeMoCarów, stąd ciągle próby ulepszenia inwigilacji tamtejszych obywateli. W tym czasie spotykał Judythanię tylko podczas obiadu, pozostawiając jej wszystkie pozostałe sprawy. Inne posiłki spożywał w pośpiechu w gabinecie. Nawet podczas obiadu jego myśli kręciły się wokół projektu. Judythania doskonale wczuła się w sytuację, nie absorbując go żadnymi innymi sprawami, i nie nagabywała rozmową, widząc, jak bardzo jest zajęty. Gdy wreszcie sfinalizował projekt, poczuł, że musi odreagować stres. Wezwał Judythanię.

- Zamów mi Testelę i te dwie inne dziewczyny na najbliższych pięć nocy.

Stali naprzeciw siebie i dokładnie widział, jak jej oczy pociemniały i się zwęziły. Zbladła przy tym.

- Pani! – rzuciła ostro.

- Tak, pani – odparł, czując narastające wzburzenie.

- Oczywiście – odrzekła. – Będę przez te najbliższe pięć dni również niedostępna.

Muszę wyrównać zaległości wobec swojego męża.

Ogarnęła go furia. Uderzył ją otwartą dłonią w twarz, a ona mu oddała. Zadygotał z gniewu. Było mu wszystko jedno, czy go zabije. Uderzył znowu, ona też, otwartą dłonią.

* Khobolt – wbrew pozorom nie jest to alkohol, choć jego oddziaływanie na homorian jest bardzo podobne. Jest to bardziej złożony związek chemiczny powstający w procesie podobnym do fermentacji.

Za trzecim razem poczuł ogarniające go pożądanie. Oślepiiony bezmyślną żądzą złapał ją w objęcia i przyciągając z całych sił, zaczął gwałtownie całować, choć miał świadomość, że zaraz może zginąć. Ona jednak oddała mu się równie gwałtownie. Minęło sporo czasu, zanim ich ciała nasycone zaspokojeniem spoczęły obok siebie, jakby zadziwione tym, co się wydarzyło.

Patrzyli sobie w oczy z jakimś dziwnym uczuciem. Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń, by pogłaskać jego włosy. Zobaczyła, że spojrzął na szmaragdowy pierścień. Powoli zsunęła go z palca i położyła na stoliku obok łóżka.

– Materac nie był za twardy? – zapytał prowokująco.

– Na pewno nie. Sama go dobierałam. Jednak teraz będę musiała go zmienić, by zniknął wszelki ślad po Testeli.

– Dasz radę zastąpić te trzy dziewczyny? – zapytał, uśmiechając się.

– Uważaj, co mówisz, bo możesz pożałować, że ich nie użyjesz. Nawet wszystkich trzech jednocześnie.

– Będziesz moją na zawsze! – Twardo spojrzął jej w oczy.

Odpowiedziała równie zdecydowanym spojrzeniem, nie zamierzając ustąpić.

– Jeśli dowiem się, że kochałeś się z inną, zabiję cię.

Wiedział, że mówi poważnie. Jej oczy mu to powiedziały. Były szalone i smutne.

– Możesz być pewna, że cię nie zdradzę – odparł.

Zamknęła oczy i zadygotała.

– Boże, żebym nie musiała.

POWRÓT DO KORZENI

Przychodzi taki czas, gdy człowiek coraz częściej zaczyna wracać myślami do czasów dzieciństwa, wspominać i analizować dawne zdarzenia i relacje z innymi członkami rodziny, a szczególnie z rodzicami. Nie da się ukryć, że wiek ma w tym przypadku podstawowe znaczenie. U Adama sentymenty takie zaczęły się nasilać bardzo wcześnie, bo już przed czterdziestką. Na pewno wpływ na to miał fakt, że całe życie pozostawał singlem. Nie to, żeby jego relacje z kobietami były w jakikolwiek sposób ograniczone czy stały temu na przeszkodzie jakieś inne bariery. Wręcz przeciwnie, w odpowiednich okresach życia relacje te były aż nazbyt rozwinięte. Czy to zaważyło na przyszłych jego losach? Może.

Zawsze był atrakcyjny dla kobiet. Przystojny, dobrze zbudowany, wysportowany i miał jeszcze coś – ten nieuchwytny urok zapisany gdzieś w spojrzeniu, w chłopięcej twarzy, który niezmiennie zjednywał mu sympatię płci przeciwnej. Natomiast płci tożsamej już niekoniecznie, choć na ogół był lubiany przez kolegów. Swe atuty w stosunku do dziewczyn wykorzystywał bezwzględnie, aczkolwiek – należy oddać mu sprawiedliwość – nie z premedytacją. Każde zaangażowanie z jego strony było pełne, za każdym razem zakochiwał się na „śmierć i życie”. Nie jego winą było, bardziej można powiedzieć winą jego inteligencji i spostrzegawczości, że szybko potrafił dostrzec wszelkie braki i wady u swej wielkiej miłości. W 99% dotyczyły one sfery na pierwszy rzut oka niewidocznej – charakteru czy intelektu. Ten drugi niedostatek pewnie by darował, gdyby wybranka choć w małym zakresie starała się zrozumieć albo ogarnąć jego potrzeby ducha. Było to cokolwiek trudne, gdyż Adam od zawsze fascynował się bardzo abstrakcyjnymi i dla innych trudnymi do zrozumienia obszarami, takimi jak matematyka i fizyka teoretyczna. Jak sam mawiał, takie miał po prostu odchylenie od normy. Po kilku „głębszych” nazywał to bardziej dosadnie, przy czym zboczenie było w tym przypadku najłagodniejszym określeniem. Inna sprawa, że na studiach zetknął się z dziewczynami o takich samych zainteresowaniach co on lub przynajmniej studiujących to samo. Problem polegał na tym jednym pozostałym procencie związanym z cielesnością. Choć głośno deklarował, że gotów jest związać się

na całe życie z dziewczyną bez względu na jej urodę, jeśli ta chciałaby i byłaby zdolna do dzielenia z nim zainteresowań, było to nieprawdą. W głębi duszy czuł wielkie przerażenie na myśl, że mógłby w życiu spotkać kogoś takiego. Nie, nie dlatego, że musiałby wypełnić deklarowaną obietnicę – i tak by jej nie wypełnił. Problem polegał na tym, że po prostu nie wiedziałby, jak taki – jego zdaniem – „wybryk natury” traktować. O ile nie miał problemu z akceptacją wybitnych zdolności w zakresie myślenia abstrakcyjnego u swych kolegów – kilku z nich na pewno przewyższało go pod tym względem, o tyle z akceptacją dziewczyny o podobnych zdolnościach miałby problem. W tym zakresie relacje z kolegami na studiach i później w pracy naukowej traktował jak rywalizację na piłkarskim boisku (był zawsze aktywnym fanem footballu), a tam nigdy z dziewczyną nie rywalizował.

Po takim uproszczonym opisie można by odnieść wrażenie, że Adam Sadowski jest osobą cokolwiek niesympatyczną, a przynajmniej traktującą płęć piękną trochę niepoprawnie politycznie, czyli podmiotowo. Jednak jest to wrażenie bardzo powierzchowne i całkowicie nieprawdziwe. Adam nigdy nie kwestionował pełnego partnerstwa kobiet w relacjach zawodowych czy kontaktach towarzyskich. Podziwiał wybitnie utalentowane panie w różnych dziedzinach, w tym też w takich, które sprowadzały się do kierowania ludźmi. Często jego przełożonymi były kobiety i nieraz od nich obrywał. Słusznie czy niesłusznie – sprawa względna. Przykrości te traktował tak samo jak z ręki męskiego szefa. Jedyne wyjątki sprowadza się do tego, co wyżej określono jako „wybryk natury”. Bo on swoje zdolności też tak postrzegał, wcale nie jak dar czy talent, ale właśnie jak „wybrak natury”, a nawet więcej – stygmat zła. Choć zło to nieodpowiednie określenie, chodzi o coś nieludzkiego w sensie zdehumanizowanego, obcego pierwiastka, który sprawia, że patrzysz na świat poprzez filtr odsiewający wszelkie uczucia – rzeczywistość sprowadza do obiektów i logicznych relacji między nimi. Możesz się zwyczajnie bawić, cieszyć z wielu rzeczy, autentycznie kochać, ale gdzieś tam z tyłu głowy siedzi obcy, który prowadzi swoją bezduszną analizę, na dodatek nieustannie dążąc do przejęcia pełnej kontroli nad świadomością. Najgorzej, gdy budzisz się z rana na kacu.

Adam nie mógłby zaakceptować kobiety z takim demonem w głowie. Sam nieraz popadał w okresy maniakalnej wręcz koncentracji na jakimś problemie matematycznym, kiedy całymi dniami nie wychodził z mieszkania. Jadł byle co albo nie jadł w ogóle, bo szkoda mu było czasu. Przesypiał po parę godzin nieregularnie i tylko wtedy gdy umysł nie był w stanie już funkcjonować. Owocem tych zrywów były artykuły w specjalistycznych czasopiśmie, a publikowanymi tam twierdzeniami, które z takim trudem udawało się udowodnić, interesowało się kilkadziesiąt, a w najlepszym razie kilkaset osób na świecie. Dumę z tego, co zrobił, odczuwał przez kilka godzin, później było opijanie „sukcesu” i kac

następnego dnia – demon ruszał do natarcia, starając się zmusić go do kolejnych działań. Jednak umysł był wtedy zbyt wycieńczony i to chroniło go przed popadnięciem w skrajną paranoję. Jeśli przetrwał dwa tygodnie, miał szansę na w miarę stabilne funkcjonowanie do czasu, gdy skusi go następne wyzwanie intelektualne.

Wybitny talent matematyczny zaczął wykazywać już we wczesnym dzieciństwie, przynajmniej tak twierdzili rodzice. Pierwszy okres w szkole podstawowej, do której zaczął uczęszczać rok wcześniej niż pozostali, zapamiętał jako pełne euforii pochwały nauczycielki, pani Anny, która nie mogła się nadziwić, skąd u niego takie zdolności. Inni nauczyciele zresztą też. On z kolei nie mógł się nadziwić, dlaczego nauczyciele tak się dziwią. Demon, a przynajmniej stan umysłu go poprzedzający, ujawnił się w trakcie regularnego rytuału rodzinnego. Adam wielokrotnie starał się sobie przypomnieć, w której to mogło być klasie. Pamięć jest dziwnie zawodna, bo o ile doskonale pamiętał, co się wtedy wydarzyło, stan ducha i reakcję ojca, o tyle nie potrafił zlokalizować dokładnie w czasie tego wydarzenia. Była to trzecia albo czwarta klasa szkoły podstawowej, na pewno letni, przedwakacyjny, słoneczny dzień. Łatwo też ustalić, że niedziela, gdyż to był dzień rytuału. Po obiedzie ojciec uroczyście otwierał szafę w sypialni i z górnej półki wyciągał drewniane pudełko w czarno-żółtą szachownicę, zawierające przesłicznie rzeźbione figurki w tych samych kolorach. Zależnie od pory roku i pogody siadali w domu przy stole w saloniku albo udawali się, jak właśnie w ten pamiętny dzień, do pobliskiego Chopin Park, gdzie w pobliżu hali sportowej, w której Adam zaczął właśnie nabierać zamiłowania do piłki i innych sportów, w zacisznym zakątku rozstawiono kilka drewnianych stolików z ławami. Było to stałe miejsce spotkań lokalnych wyg szachowych, w większości starych i to nie tylko z powodu umiejętności. Ojciec zawsze pierwszych kilka partyjek rozgrywał z Adamem, by później wdać się w zawile rozgrywki turniejowe z dorosłymi, w których monety (i nie tylko) krążyły ze zmiennym szczęściem pomiędzy kieszeniami zawodników. To zmienne szczęście dotyczyło tylko większości rozgrywających, istniała bowiem pewna mniejszość, w stosunku do której strumień monet miał tendencję do stabilizowania swego przepływu raczej w jednym kierunku – do ich kieszeni. Ojciec zdecydowanie należał do tej grupy.

Edukacja szachowa Adama polegała na tym, że ojciec dawał mu fory, grając bez jakiejś figury, zwykle królowej. Nawiasem mówiąc, jeszcze się nie zdarzyło, by Adam wygrał. Rzut monety rozstrzygał, czy Adam gra białymi, czy czarnymi. O tym, kto zaczyna, decydował los, była to rzecz uświęcona. Kiedyś mały Adam buntował się przeciw tej zasadzie, myśląc, że rozpoczynając grę, zwiększy swoje szanse. Ojciec był jednak nieprzejednany, choć w zamian potrafił zdjąć dodatkową figurę z szachownicy, co i tak nie zmieniało rezultatu gry. W trakcie rozgrywki ojciec nie odzywał się ani słowem, pozwalając Adamowi

dobierać własną taktykę. Dopiero po każdej przegranej dokładnie analizował poszczególne błędy, jakie Adam popełnił, i pokazywał standardowe rozegrania. Była to metoda, jaką przekazał mu jego ojciec, a dziadek Adama, którego ten zresztą ledwie pamiętał. Dziadek zmarł w dalekim kraju jeszcze przed ich emigracją do Ameryki. Tak przekazywana wiedza szachowa była wiedzą praktyczną, żaden z nich nigdy nie studiował teorii gry w szachy i nie przeczytał ani jednej książki na ten temat.

Ojciec, jak zwykle z pietyzmem, rozłożył szachownicę i rozstawiał swoje figury. Tamtego dnia grał czarnymi. Po chwili zastanowienia obrzucił Adama taksującym spojrzeniem i odłożył na bok królową. Adam bez przekonania przesunął pionka do przodu i z fascynacją obserwował, jak ojciec niemal z nabożeństwem ujmuje czarnego piona trzema palcami, wolno unosi i przestawia o dwa pola. Mały palec jego ręki pozostawał przy tym w charakterystyczny sposób odchylony w bok.

Każde rozpoczęcie gry i związane z tym bezmiar możliwych kombinacji ruchów na szachownicy zawsze przytłaczały i paraliżowały Adama. W takiej sytuacji wykonywał przypadkowe, nieprzemyślane ruchy. Również w tamtym momencie, bez żadnego planu, złapał następnego, przypadkowego pionka. Zastanawiając się, gdzie go postawić, spojrzął w górę ponad wierzchołkami drzew i doznał błyskawicznej przemiany. Jego umysł stał się czystą, krystaliczną otchłanią, wibrującą jednostajnym, pulsującym łagodnie dźwiękiem. Nałożyła się ona na otaczającą rzeczywistość, rezonując i wzmacniając jego świadomość na kształt echa dzwonu bijącego w katedrze świata. Myślał jasno, precyzyjnie, z poczuciem świadomości, że może rozwiązać każdy problem logiczny. Ojciec dostał mata w czternastym ruchu. Adam nigdy nie zapomni miny, z jaką wpatrywał się w osłupieniu w szachownicę, podczas gdy on po wyjściu z transu drżał, nie mogąc powstrzymać dygotania całego ciała.

W ciągu całego życia wracał do tej chwili, mając świadomość, że stan, jaki wtedy osiągnął, pozwoliłby rozwiązać najbardziej zawile zagadnienia współczesnej nauki i stworzyć teorie wykraczające poza ograniczenia ludzkiego umysłu. Być może określić istotę ludzkiego bytu. Nigdy więcej jednak nie było mu dane powtórzyć tego doświadczenia. Było to jak uchylenie na moment drzwi do tajemnicy Wszechrzeczy i zadziało – pytanie, czy o to chodziło – jak przynęta dla młodego umysłu. Dla Adama doświadczenie to stało się momentem zwrotnym, ustalającym cel i priorytety całego życia. Inne, bardziej przyjemne cele pojawiały się z upływem czasu, który skutecznie osłabiał, zacierał siłę młodzięcego przeżycia i pozbawiał nadziei na powtórzenie cudu. Natomiast intensywne zajmowanie się coraz bardziej abstrakcyjnymi i wysublimowanymi teoriami wywołało demona, który zrodzony głęboko w podświadomości starał się zapanować nad całym umysłem. Gdzieś po trzydziestym piątym roku życia Adamowi udało się niemal całkowicie wyeliminować

dreńczące go obsesje – po prostu odpuścił. Działalność naukowa stała się pozorowana, publikował przekształcone powielenia i kompilacje, głównie swoich wcześniejszych, ale również obcych prac, tak by stworzyć wrażenie, że nadal pozostaje aktywnym i płodnym naukowcem. Zbierał punkty w rankingach swej macierzystej instytucji – stanowym University of Louisville. Tak się złożyło, że tu kończył studia i przepracował całe życie. Im większą stawał się miernotą naukową, tym większą estymą darzyło go szacowne grono profesorskie. Odkrył, że ważniejsze są skrupulatnie gromadzone punkty za różną, nie tylko naukową działalność niż rzeczywiste osiągnięcia, a najbardziej ceniona była umiejętność pozyskiwania jak największych funduszy na jak najbłahsze zadania.

Potrzeba poszukiwania własnych korzeni narastała stopniowo. Zawsze istniała, jednak wcześniej Adam nigdy nie miał czasu na głębszą refleksję czy sięgnięcie do rodzinnego archiwum zapakowanego w pamiątkowym kuferku i ulokowanym bezpiecznie na górnym regale – jak z dumą o niej myślał – domowej biblioteki. Archiwalia biblioteczne, gromadzone przez całe życie, zajmowały największy pokój jego mieszkania. Prawie 90 m² wypełniały stojące ciasno jeden przy drugim, wysokie na 3,5 m regały. Tak ciasno, że z trudem można się było przecisnąć. Aby móc sięgnąć do najwyższych półek, musiał sobie sprawić wążiutką, rozkładaną drabinę. Książki odkrył, gdy w wieku pięciu lat nauczył się czytać, i całkowicie zwariował na ich punkcie. Wszystkie oszczędności, każdy otrzymany od rodziców cent, przeznaczał na ich zakup. Najpierw była to prosta beletrystyka przygodowa, później kryminały, sensacja i modna wtedy sci-fi. Z czasem odkrył wielką prozę przedwojenną i zaczął gromadzić unikalne egzemplarze wczesnych wydań najbardziej znanych twórców. W późniejszym okresie pasja ta uległa znaczącemu osłabieniu. Dzisiaj, w dobie Internetu i e-chłamu, odkrył, że jest w posiadaniu małego skarbu o znacznej wartości rynkowej.

Rodziny kuferek leżał sobie na najwyższej półce narożnego regału, przy ścianie z oknami. Zawierał wszystko, co zabrał z rodzinnego domu w Chicago po śmierci ojca. Matka zmarła kilkanaście lat wcześniej, gdy Adam miał 9 lat. Teraz bardziej pamiętał swą rozpacz niż twarz mamy. Ta niepamięć, zawsze w chwilach przypomnienia, sprawiała mu ogromny ból. Co prawda, zachowały się stare fotografie mamy, jednak wszystkie bez wyjątku z młodości – ostatnie było portretowe zdjęcie ślubne szczęśliwej pary. Później nigdy nie pozwoliła się fotografować. Zdjęć ojca było więcej. Były również bardzo stare zdjęcia rodzinne sprzed II wojny światowej, jeszcze ze starego kraju. Dla Adama z perspektywy czasu zadziwiające było to, że śmierć ojca nie wywarła na nim takiego wrażenia, jak sam by oczekiwał. Pewnie dlatego, że była ona oczekiwana – ojciec miał już 86 lat i był bardzo schorowany. Adam często go odwiedzał i starał się nakłonić do przeprowadzki do niego, do Louisville. Oczywiście bezskutecznie. W Chicago ojciec miał starych znajomych, żyli

nawet jeszcze jego sąsiedzi, którzy mieli ponad 90 lat. Opiekowały się nim dalsze ciotki – rodzina ze strony mamy, należące do starszej emigracji. Ojciec nie miał w Chicago żadnej bliższej rodziny, wszyscy pozostali w Polsce, a zmarły brat nie pozostawił potomków. Adam musiał się zgodzić z argumentem, że „starych drzew się nie przesadza”. Był przekonany, że tak było dla ojca lepiej. Wtedy też finalizował swój doktorat, co w jakiejś mierze absorbowało jego umysł, umniejszając skupienie na wydarzeniach w Portage Park. Sprawy pogrzebowe załatwiane w pośpiechu również odwracały uwagę od istoty wydarzeń.

Dom przy Belmont Avenue musiał sprzedać. Zabrał z niego jedynie książki i najważniejsze pamiątki rodzinne, które zresztą ojciec starannie przygotował i zapakował do pamiątkowego kuferka. Znał jego zawartość na pamięć – stare zdjęcia rodzinne i nieliczne pamiątki, wiele z nich z czasu przed emigracją. Nawet zajrzał do niego kilkakrotnie, jednak jak do tej pory nie był gotowy na gruntowne przejrzanie rodzinnego skarbu. Uciekał przed powrotem do odległych, przeszłych zdarzeń, przed konfrontacją fragmentów swoich jakże ubogich i zatartych wspomnień z okruciami realnych chwil przeszłości uchwyconych na starych fotografiach przesyconych echem epizodów, które były tak ważne dla dawnych postaci, a już utraciły jakiegokolwiek znaczenie. Czy warto wracać do chwil, które bezpowrotnie minęły? Jakie znaczenie mogą mieć zamazane, rozmyte obrazy pokazujące jedynie wyrwane z kontekstu chwile czyjegoś życia? Nie wiemy, co myśleli, co czuli, jakie mieli pragnienia i marzenia. Czy myśleli o tym, że ktoś w przyszłości zaduma się nad ich losem? Jesteśmy efemerydami wieczności. Pojawiamy się i znikamy, pozostawiając ślady, które jedynie w mglisty sposób pokazują, jacy byliśmy, do czego dążyliśmy, co było dla nas ważne. Często uśmiech na fotografii skrywa ból i udrękę.

Adam rozłożył przed sobą artefakty rodzinnej przeszłości – stare, czarno-białe, często pożółkłe obrazy. Może mama miała rację, nie pozwalając się fotografować, kiedy już chorowała i cierpiała. Z drugiej strony, jakże mu brakowało jej zdjęć z tego okresu. Starsze fotografie pokazywały piękną, młodą i wesołą kobietę, najczęściej z malutkim synkiem na rękach lub przycupniętą obok chłopczyka w krótkich spodenkach. Najdawniejsze ukazywało chudą dziewczynkę o ładnej, smutnej buzi, w białej sukience ze świecą w ręku w dzień komunii. Było kilka zdjęć, na wesoło, z nastoletnimi koleżankami oraz ze ślubu. Były to fotografie sprzed emigracji. Inne przedstawiały ojca z młodości – na nartach, w tyrolskich spodniach uchwyconego przy kręceniu telemarka na śnieżnym zboczu. Największe wrażenie robiły jednak jeszcze starsze fotografie z dziadkiem i rodziną ojca. Do jednej ustawiła się cała rodzina w komplecie – babcia Maria z dziadkiem Józefem, mały ojciec i jego pięć siostr. Dzięki opowiadaniom ojca mógł każdą zidentyfikować, licząc od najstarszej Marii i kolejno Zofii, Bronisławy, Genowefy i najmłodszej Elżbiety. Maria nigdy

nie wyszła za mąż. Jak twierdził ojciec, przejęła obowiązki po wcześniej zmarłej babci. Opiekowała się ojcem i młodszym rodzeństwem. Najmłodsza i najpiękniejsza Ela (tylko ona była młodsza od ojca) była dzieckiem rozpieszczanym i trochę frywolnym. Pozostała panną i nie miała dzieci, choć mężczyźni uganiali się za nią. Pozostałe trzy wyszły za mąż i urodziły potomków. Gdzieś tam w Polsce Adam miał bliskich kuzynów. Nigdy ich nie poznał. Inne zdjęcie, które niezmiernie fascynowało Adama, z dziadkiem na pierwszym planie, na tle drabiniastego wozu, było bardzo stare i pożółkłe. Dziadek stał w szerokich spodniach na szelkach, wysoki i chudy sprawiał wrażenie pioniera podbijającego dziki zachód jak w klasycznym westernie. Adam powoli rozkładał inne pamiątki po ojcu – stary, przedwojenny aparat fotograficzny marki Welta Freital w skórzanym futerale i składany trójnog do niego. To tym aparatem wykonano najstarsze zdjęcia w kolekcji. Obok pamiątkowy, złożony zegarek Omega przekazany ojcu przez dziadka, obrączki ślubne rodziców, pierścionek zaręczynowy mamy i inne elementy jej biżuterii. Teraz mógł wreszcie spokojnie pogodzić się z demonami przeszłości i zaakceptować swój los i swoją samotność.

Rodzice Adama wyjechali z Polski w latach siedemdziesiątych, podczas politycznej odwilży, na zaproszenie mieszkającego w Chicago starszego brata ojca, Jana. Jan jako były żołnierz armii Andersa pozostał po zakończeniu wojny na zachodzie i dołączył do chicagowskiej Polonii. To dzięki niemu przetrwali w Chicago do lat osiemdziesiątych, gdy po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce otrzymali kartę stałego pobytu w Stanach jako uchodźcy polityczni. Wtedy Adam został pełnoprawnym obywatelem USA. Zachował jednak doskonałą znajomość języka polskiego. Zresztą w domu mówiło się wyłącznie po polsku. Mama nigdy nie nauczyła się angielskiego, ojciec natomiast opanował angielski w stopniu trochę ponad podstawowym. Choć pracował w firmie polonijnej, obowiązki zawodowe tego wymagały. Adam był dwujęzyczny i biegle posługiwał się zarówno językiem polskim, jak i angielskim w piśmie i mowie.

Powoli zatapiał się we wspomnieniach. W jego umyśle przetrwały jakieś urwane ślady pamięci z dawnego dzieciństwa. Najwcześniejszy fragment, tak ulotny i zniekształcony, musiał zrodzić się w umyśle dziecka może dwuletniego. Dawniej prześladował go, jakby to było wspomnienie z poprzedniego życia. Przedstawiał dziwnie falujące zielone pagórki i doliny w poprzecznej perspektywie, widzianej trochę z góry i oświetlonej blaskiem słońca. Zniekształcenie nadawało mu jakiś egzotyczny, nieziemski charakter. W młodości wspomnienie to tak przykuwało jego uwagę, że zadreślał ojca pytaniami, usiłując ustalić, co przedstawiało. W końcu poukladał sobie okoliczności, w jakich widok ten mógł się wyłonić. Okazało się, że wtedy często odwiedzali babcię Ludwinę ze strony mamy, która zmarła, gdy miał dwa lata. Do odległej miejscowości wędrowali na piechotę poprzez układ

kilku strumieni, pokonując dzielące je wzgórzyste wododziały. Z opowiadań ojca wynikało, że był to krajobraz niezwykle urokliwy. W umyśle małego dziecka przeżycie to utrwaliło się na zawsze. Inne wspomnienie wiązało się z prababcią Teresą, którą zapamiętał jako staruszkę z pomarszczoną twarzą i chustą zawiązaną na głowie. Ojciec dziwił się, że ją pamięta, gdyż zmarła, gdy miał trzy lata. Mama dużo mu opowiadała o jej ogromnej miłości do prawnuka, podobnie zresztą jak schorowanej babci Ludwiny. Najwięcej jednak wspomnień zachował z domu dziadka. Dom stał trochę na odludziu, choć w niewielkim oddaleniu od głównej lokalnej drogi. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali około kilometra dalej. Na zawsze zapamiętał podwórko przed domem, miejsce zabaw i swawoli oraz strome wzgórze za domem, nazywane Grapą, którego zbocze ostro schodziło do tylnej ściany domu. Wyobrażał sobie, że jak będzie większy, to przeskoczy ze zbocza na dach domu, tak mała to była odległość. Pamiętał dziadka i ciotce mieszkające razem z nimi lub w drugim przyległym domu, który dziadek wybudował później, jednak trudniej mu było przypomnieć sobie ich twarze. Zapamiętywanie twarzy zawsze stanowiło dla niego duży problem. To wszystko odeszło w niebyt. Ojciec do końca korespondował z rodziną. Ostatnia przed ojcem zmarła ciocia Ela. Być może dom nadal stoi i zajmuje go któryś z kuzynów. Adam starał się z pomocą Google Maps zlokalizować jego położenie, ale bez pomocy ojca stało się to niemożliwe, zresztą dawne otoczenie musiało się bardzo zmienić. Zatopiony w myślach podjął nagle decyzję – wraca do ojczyzny. Musi odnaleźć ślady swego dzieciństwa i ostatecznie określić swoją tożsamość. Tutaj w Stanach nic go już nie trzyma.

Powrót do korzeni wymagał podjęcia szeregu działań. Zwrócił się do konsulatu polskiego o potwierdzenie lub przywrócenie obywatelstwa polskiego. Polska po przemianach lat 90. stała się krajem szybko dościgającym państwa rozwinięte. Zawsze śledził z uwagą to, co dzieje się w jego ojczyźnie. Pozostawał jeszcze jeden problem do rozwiązania – zgromadzony księgozbiór, do którego był bardzo przywiązany. Znalazł się oczywiście amator na jego przejęcie. Warunkiem było zakupienie go w całości, a więc ze wszystkimi białymi krukami. Adam mógł zatrzymać jedynie pozycje w języku polskim. Udało się jeszcze wynegocjować kilka książek z dedykacją ojca, których nie miał sumienia sprzedać. Zgromadził spore środki ze sprzedaży mieszkania i księgozbioru, do tego dochodziły pieniądze ze sprzedaży domu ojca oraz stałe przychody z przejętego od niego funduszu inwestycyjnego, nie musiał się więc martwić o przyszłość. Koledzy w pracy żegnali go ze smutkiem, ponieważ tracili wspianiałego towarzysza imprez, a koleżanki ostatnią nadzieję na spełnienie swych marzeń.

Warszawa powitała Adama Sadowskiego majową mżawką. Postanowił zostać w stolicy na jedną noc, a nazajutrz wynająć samochód i ruszyć na poszukiwanie swoich korzeni. Sprawdzał informacje o niewielkim cargo nadanym na frachtowiec z Nowego Jorku,

w którym umieścił cały dobytek, oraz o wynajęciu miejsca magazynowego w Gdyni. Wszystko było w porządku. Posługiwał się jeszcze amerykańskim paszportem, ale miał już potwierdzone obywatelstwo polskie i zamierzał pozyskać polski dowód osobisty, gdy tylko znajdzie stałą przystań w nowym, starym kraju. Nazajutrz odebrał wynajętego jeepa i ruszył na południe w poszukiwaniu sensu dalszej egzystencji, z nadzieją, że odzyska zagubionych krewnych. Rodzinna miejscowość, Buczkowice, leży w północno-zachodniej części Kotliny Żywieckiej nad rzeką Żylicą niedaleko Szczyrku. Adam orientacyjnie znał położenie domu rodzinnego, jednak należało się liczyć z tym, że mógł zostać zburzony lub przebudowany. Wynajął na dłużej hotel w Bielsku-Białej z zamiarem poszukiwania śladów swojej historii.

Rzeczywistość przerosła wszelkie obawy Adama. Wszystko tu było inne niż w jego wyobrażeniach, a nawet na mapach Google. Rzadko aktualizowane mapy nie odzwierciedlały dynamiki zmian, które tutaj zachodziły. Jadąc zgodnie z opisami ojca, skręcił w centrum Buczkowic w kierunku Szczyrku. Ojciec nazywał ten zakręt kolanem, dziś jednak było to ruchliwe skrzyżowanie z rondem. Jadąc dalej równoległe do rzeki, powinien wypatrywać domu po prawej stronie, gdzie zabudowa zanika ograniczona zwężającą się kotliną. Problem polegał na tym, że po prawej stronie drogi powstała zwarta zabudowa domów, która rzeczywiście kończyła się tam, gdzie zwężenie kotliny nie pozwalało na dalszą rozbudowę. Jednak związek tych domów ze wspomnieniami Adama był żaden. W jego pamięci powinny tu być dwa stare, osamotnione, przylegające do siebie drewniane domy. Tymczasem była cała masa nowoczesnych domków. Podjechał na chybił trafił do kilku, wypytując mieszkańców o rodzinę Sadowskich. Nikt takich nie znał, mieszkali tu od niedawna, głównie rodziny byłych górników ze Śląska. Jak później się dowiedział, likwidacja kopalń spowodowała masową migrację górników w zielone Beskidy. Umożliwiły to spore odprawy, jakie otrzymywali przy zwolnieniu z pracy. Zmarnował jeszcze sporo czasu, obchodząc prawie wszystkie domy w okolicy. Wypytywał o to, co zastali tutaj, gdy się przeprowadzali, licząc, że ktoś przypomni sobie stary dom, który został zburzony. Jednak informacje były nieskładne i nie zawierały żadnego śladu, który mógłby doprowadzić do jego krewnych.

Ciąg dalszy dostępny w pełnej wersji książki.

SPIS TREŚCI

Prolog	5
Judhosz	9
Powrót do korzeni	22
Incaria.	41
Eden.	64
Tajne operacje	75
Wagowie.	86
Darian.	97
Mały Jud	110
Uroczysko.	121
Cirithania	136
Filharmonia	184
Laboratorium bogów	195
Judythania.	205
Tayana.	217
Nowa bogini.	231
Extifada	236
Exodus	250
Narodziny demona	262
Lilith	276
Zagłada	288
Ziemia Ojczysta	305
Przebudzenie	332